



6 SIERPANIA

Biuletyn uczestników Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej

nr 2/2019

Kraków-Słomniki 6 VIII 2019 r.

Edward Słoński
PIERWSZA KADROWA

W carskich siedzieliśmy turmach,
sybirskim gnano nas szlakiem,
a każdy z nas był szczęśliwy,
że się urodził Polakiem.

W podziemiach mrocznych kazamat,
gdzie grzechem była myśl wzniosła,
jak pacierz w sercu dziecięcym,
piastowa Polska w nas rosła.

Śnił nam się pod okiem zbirów
królewski sen Kołodziejów,
zbudzony męka Konarskich
i krwawym buntem Okrzejów.

Bóg mękę i krew odważył,
wybrał z nich wszystko najczystsze –
i taką Polskę poniosła
Pierwsza Kadrowa w tornistrze.

6 sierpnia 1919

Z KART HISTORII

6 sierpnia – około czwartej nad ranem z Oleandrów wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa. Poprowadził ją patrol Władysława Beliny-Prażmowskiego w nieco zmienionym składzie. Zygmunta Bończę =Karwackiego zastąpił Stefan Krak-Dudzieniec. Pięciu z nich jechało konno, dwóch szło pieszo z siodłami na karku.

Kompania o 9.45 przekroczyła granicę zaboru rosyjskiego, obalając słupy graniczne w Michałowicach. Dłuższy odpoczynek miał miejsce w pobliskim dworze, a po południu Kompania wyruszyła do Słomnik, gdzie dotarła w deszczu w godzinach wieczornych.

W Krzeszowicach Mieczysław Norwid-Neugebauer organizuje punkt etapowy, przez który miały przechodzić kolejne, mobilizowane właśnie oddziały strzeleckie. Wraz z Kazimierzem Sosnkowskim przybywa tam Józef Piłsudski. Razem ze strzelcami maszeruje przez Raclawice do Skały, gdzie zatrzymują się na nocleg. Oddział Norwid-Neugebauera liczy cztery kompanie.

6 sierpnia 1916 – Józef Piłsudski ustanowił Odznakę „Za wierną służbę”, na której wzorowana jest Odznaka Uczestnikowi Marszu Szlakiem Pierwszej Kompanii Kadrowej.

Ze wspomnień kadrowiaków

Kluczmy cicho przedmieściami ku północy przez Prądnik, Łobuzów, Babice na szosę do Michałowic. Pytania, prośby, żeby powiedzieć co będzie, gdzie idziemy. Uśmiecham się tajemniczo, wreszcie czoło zbliża się do szosy „warszawskiej”. Trzeba ich podrażnić: zapowiadam kierunek w prawo z powrotem na Kraków. Lament – „my chcemy na wojnę”. Po chwili poprawiam się – zachodzenie w lewo, ku granicy. „Jubel” niebywały. Okrzyki, trąbka. Robi się nastrój, serce łomocze... Trzeba być opanowanym dowódcą.

Godzina 9 – Słupy graniczne, wzgórze, widać daleko ziemie na północ. „Kompania – stój”. „W lewo – front”. Siłę się na spokój. I nagle przenika ostra świadomość, że zaczyna się coś nieznanego. Chwila, przeczuwana, że się stanie kiedyś, w jakiejś mglistej przyszłości, zjawia się w realnych kształtach. Zaczynam nią żyć. Wojna – oddział żołnierzy polskich. Zawarły się ciężko odrzwia nad codziennym, bliskim, znanem wczoraj. I patrzeć tylko przed siebie trzeba. Ze wzgórza widać daleko gaje, pola, pagórki ziemi kieleckiej – w słońcu, uśmiechnięte. Myśl gorączkowo pracuje, spóźniona nadrabia świadomość położenia; poczucie odosobnienia, kompania wyrwie na 2-3 dni naprzód, Komendant daleko, mamy być dla niego „coup de sonde”, na własnej skórze trzeba sprawdzić, czy jest wróg, czy się na nią złakomi; świta mi przykra myśl, że nie ma w pobliżu i dalej większych lasów. Obok

kompania – z oczu coś im promienieje, idzie ku mnie jakiś prąd. I przychodzi nagle ostre, głębokie uczucie, żem ich dowódcą nie na niedzielne ćwiczenia.

„Kompania, baczność! Obywatele... otrząsnąć z siebie powłokę pokoju... w imieniu Rządu Narodowego... stan wojny... Przed nami ziemia od lat w niewoli... idziemy ją wyzwolić. Od dziesiątków lat pierwszy regularny oddział wojska polskiego... Na cześć tej ziemi: kompania w prawo – patrz”. Coś pcha się ku gardłu.

Po chwili odtrąbiono. Gwar odprężenie.

Patrol naprzód – przeszukać komorę i gminę. Carskie portrety – w strzepy, słupy zwalone, napisy moskiewskie – na ziemię. I pierwsza zdobycz – jakieś zapomniane pistolety.

Tadeusz Kasprzycki „Kartki z dziennika oficera I Brygady”

Następnego dnia, 6 sierpnia, ponowny alarm. Kompania stanęła w dwurzędzie na dziedzińcu. Dowódca kompanii złożył raport Komendantowi, który w otoczeniu małej grupki strzeleckich dostojników przeszedł przed frontem kompanii. Każdemu z nas zajrzał w oczy przechodząc i każdemu z nas od tego spojrzenia coś w piersiach zakipiało. Potem przedefilowaliśmy przed nim, patrząc według komendy na prawo i w spojrzeniach

naszych oddając mu się bez reszty na wierną służbę.

Hej i Jemu.

I po raz wtóry krew gorącym ukropem zbiegła się w jakimś najtkliwszym punkcie pod lewą piersią. A potem pomaszerowaliśmy. Szliśmy najpierw drogą na Krzeszowice. Dokądże to idziemy? Czyż we dworze Potockich mamy szukać Moskali? Kołem szerokim obeszlśmy Kraków, po wczorajszym doświadczeniu ciągle niepewni i niedowierzający. Wreszcie weszliśmy na szosę kielecką. Gdzież teraz skręcimy – na prawo do Krakowa, czy na lewo?

Kroczący na czele kompanii Kasprzycki, wyszedłszy na szosę, zachodzi na prawo. Rozpacz! Nagle „Zbigniew”, rzuciwszy przekornym spojrzeniem na kompanię, zakręcił na lewo. Ku granicy!

Gromkim „hurra!” odpowiedziała na ten zwrot kompania.

Odtąd już nie maszerowaliśmy, ale nas coś niosło – coś porywało. Zagrzmiała stara strzelecka pieśń Hej strzelcy wraz, potem drugi pluton zahuczał pieśnią przez nieodżałowanego Ostera-Ostrowskiego (zginął w 1916 r. śmiercią bohaterską) w marszu ułożoną:

Raduje się serce, raduje się dusza
Gdy Pierwsza Kadrowa na Moskala rusza
Oj da! Oj da dana! Kompanio kochana,
Nie masz to jak pierwsza, nie!
(...)

Rozśpiewani i rozradowani odwaliliśmy kilka kilometrów, dzielących nas od granicy, sami nie wiedząc kiedy i jak. Słupy graniczne minęliśmy w milczeniu, maszerując na baczność, salutowani przez gromadkę strażników celnych i oddziałek dragonów austriackich, gapiących się na nas

ze straszliwym respektem. W rozkolebanym lekko terenie szosa powoli wznosiła się ku górze.

Kiedy stanęliśmy na szczycie wzniesienia, skąd szeroki roztaczał się widok na północ, na Królestwo, Kasprzycki zatrzymał i sfrontował kompanię, a stanąwszy przed frontem, zwrócił się do nas z następującymi słowami:

„Koledzy! Weszliśmy na ziemię Królestwa Polskiego jako pierwszy od 1831 roku oddział regularnego wojska polskiego. Powitajmyż tę ziemię po żołniersku!”

- Baczność! Zakończył swe przemówienie już tonem komendy. – Prezentuj broń! Kompania w prawo – patrz!

Stanęliśmy wyprężeni, z karabinami usztywnionymi u lewego boku, spojrzeniem żołnierskim, jak za Wodzem naczelnym, tak po ziemi przed nami leżącej, po ziemi kochanej wodząc. Naprzeciw nas, za skrzętem w dół spływającej szosy, w dwurzędzie, niby kompania honorowa, na nasze powitanie wysłana, słała się aleja smukłych, strzelistych – rzekłbyś – również „na baczność” wyciągniętych topoli. Żarkie, wysoko już na niebie stojące słońce kładło swe błogosławiące promienie na tej ziemi, jakby w dreszczu oczekiwania zastygłej, na jej łąkach złotych i łąkach szmaragdowych, na ukrytych wśród ciemnych sadów wioskach, na widniejącym na horyzoncie sosnowym lasku, zwierciadliło się w stawie opodal i w skocznych pętlach rzeczułki, a pewno i w naszych dygocących entuzjazmem sercach, jak w rozkołysanych pierwszym podmuchem wojennej zawieruchy, najwyższych falach morza Polski.

- Baczność! – zabrzmiała wreszcie komenda – kolumna czwórkowa w lewo – czwórki w lewo zwrot! – kompania – marsz!

Ruszyliśmy naprzód – na Słomniki,
Miechów, Kielce – do Warszawy.

w sierpniu 1914 roku, niewielu takich było w
Polsce, co wierzyli, że dojdziemy.

Wędrowaliśmy długie, długie lata,
aż wreszcie doszliśmy. Ale wówczas,

Bolesław Wieniawa-Długoszowski
„Wymarsz”

Anegdoty legionowe

W sam dzień sylwestrowy (1914 r. – przyp. red.) zjawiała się w kwaterze Beliny pewna niewiasta z kategorycznym żądaniem, aby ją przyjął na służbę do pułku. Belina bronił się zawzięcie, choć wobec gwałtownych nalegań zapalczywej niewiasty niezbyt pewnie, przed tą w życiu naszym wojskowym komplikacją i w końcu dyskusji wytoczył argument, że dla żadnej niewiasty wyjątku zrobić nie może, a w pułku naszym żadna kobieta nigdy nie służyła i nie służy.

- Jak to nie służy! – z oburzeniem odparła niewiasta – a Hanka?

- Jeżeli pani powołuje się na Hanke – odparł z chytrym uśmieszkiem Belina – to muszę ustąpić, ale tylko pod warunkiem, jeżeli pani zgodzi się kwatrować zawsze z naszą Hanką. Wieniawa – zwrócił się do mnie Władek, gdyż przypadkowo byłem przy tej rozmowie obecny – bądź tak dobry i sprowadź tu jak najprędzej Hanke. Jakaż była konsternacja i przerażenie niedoszłej konnej patriotki, gdy po kilku chwilach zameldował się w mym towarzystwie w kwaterze rotmistrza olbrzymi, zwałisty chłop z krzaczastymi bakami, którego Belina przedstawił jej jako naszą uroczą Hanke, tak bowiem przekorny kaprys koleżeńskich żartów ochrzcił obywatela Kuleszę, świetnego kompana i srogiego żołnierza, obecnego dowódcę brygady naszej kawalerii, właśnie dla jego potężnej i stuprocentowo męskiej postaci. Ja z mojej strony, z obowiązku szwadronowego barda, opiewałem jego popularną w naszych szeregach sławę trawestacją znanej wojskowej piosenki, której – niestety – dwie tylko zwrotki nadają się do druku:

*Haniś moja Haniś,
Cóżes za kochanka
Kiej ci z buzi pachnie
Rum i przepalanka.*

*Haniś moja Haniś,
Cóżes za Hanisia,
Jak siadłaś na konia
To konik aż przysiadł.*

Do użytku wewnętrznego

Nakład 80 egz.

Redakcja: Dariusz Nowiński, Piotr Siwicki